

żeby mi chycie tego pisma nie odebrali, ale jakoś Pan Jezus dał, że mi nie przetrzasali łańców.

Może należało teraz, gdy dowiedziałam się, że list nie pochodził z Lublina, gdzie kawaler Dolabella przebywał, ale z Sandomierza, gdzie w żadnym razie przebywać nie mógł, nie brać tego pisma do ręki, lecz przemogła ciekawość... Nie wiem, czy by się inaczej zachowała jakakolwiek kobieta na świecie. Rzuciwszy okiem na adres brzmiący: „do rąk własnych JW. Imci Panny Julii Dziaduskiej w Zamkowej Woli“, zdawało mi się, że charakter tego pisma jest mi znajomy, ale na razie, czując w sobie wlepione zło i podejrzliwe oczy żebraka, nie zastanawiałam się wcale nad tą kwestią, tylko szybko zerwałam pieczęć i już chciałam czytać, gdy przypomniałam sobie, że jestem sama w lesie z żebrakiem, mężczyzną silnym i barczystym. Zdjął mi strach, ale nie dając tego po sobie poznać, szybko schowałam list do kieszeni i postąpiwszy parę kroków, rzekłam:

— To dobrze, możesz odejść.

— A jakże, proszę jaśnie panny, nie będzie nijakiej odpowiedzi? Pan adjutant przykazywał mi, żebym przez odpowiedź nie odchodził.

Wobec tych słów, zawahałam się. Jeżeli bowiem ten list pochodzi od kawalera Dolabelli, mojego niejako narzeczonego, byłoby rzeczą niewłaściwą. a nawet niegrzecznością, nie odpisać mu choć parę słów. Ale czy istotnie ten list pochodzi od kawalera? Należało się zaraz na miejscu o tem przekonać i zdecydować, czy ma być odpowiedź, czy nie. Ale mimo to nie chciałam czytać tego tajemniczego pisma w oczach żebraka — rzekłam więc:

— Dobrze... ja idę na górę... przyjdź za chwilę, to ci tam odpowiem.

— Kiej na górze dużo ludzi.

— Więc cóż?

— Bo to nie potrzeba, żeby kto widział, żem ja pismo przywiozła i dam z jaśnie panią.

— Nikt nie będzie widział.

To rzekłszy skoczyłam co żywo i za chwilę znalazłam się pod murem, okalającym kościół klasztor. Tu pełno siedziało żebraków i żebraczek i kręciło się dosyć ludzi. Wszedłszy przez bramę, znalazłam sobie pod kościołem zaciszny kącik, gdzie siadłszy na jakimś potrząskanym grobowcu rycerza w stal zakutego, rozerwałam ów list i poczęłam go czytać z biciem serca, z podejrzeniem, że pochodzi on od Gwidona, a raczej od pana Tomasza Gaworowskiego.

I nie omyliłam się wcale; tak, to on pisał ten list i ośmielił się przelać mi go przez żebraka. Nie mogę przytoczyć tutaj dosłownie treści tego dokumentu, będącego nowym etapem na drodze moich przeznaczeń, gdyż w chwili, gdy siedziałam zamyślona, silny wicher wyrwał mi papier z ręki i poniósł go wysoko ponad jodłami boru. Widziałam, jak płynął z głośnym szelestem i znikł gdzieś z moich oczu, zawiąszył zapewne na jakiej gałęzi wysokiego drzewa. Nie żałowałam wcale, że pismo to zaginęło dla mnie, choć przyznaję, że zrobiło to na mnie wrażenie, bo wskutek wypadków, jakie w ostatnich kilku miesiącach rozegrały się ze mną lub wobec mnie, w starym zamku mych przodków, stałam się bardzo zabobonna i w każdym zdarzeniu widzę coś tajemniczego, coś mogącego wpłynąć na moje losy. Widocznie tak przeznaczenie chciało, żeby z tego dziwnego pisma nie pozostał żaden ślad materialny, jakkolwiek doskonale zapamiętałam jego treść, którą uważam za stosowne tutaj zanotować.

Pisał mi tedy pan Tomasz Gaworowski, że zrozpaczony moją nieczułością dla niego, powodowany przytem miłością dla ojczyzny, zagrożonej w swem bycie przez zuchwały najazd Austriaków, wstąpił do wojska polskiego, do korpusu dowodzonego przez generała Sokolnickiego w Sandomierzu; że złożył temu generałowi znaczną sumę na potrzeby ojczyzny, że wprawdzie suma ta nie pochodzi z majątku jego, Gaworowskiego, ale ze skarbów klasztoru na Łysej górze, wszakże bynajmniej z tego powodu jego sumienie nie czyni mu wyrzutów, bo każdy człowiek rozumny i niezaślepiiony błędami średniowiecznych wyobrażeń przyznać musi, że lepiej

jest, iż pieniądze, zebrane z ofiar głupich ludzi i ucisku chłopów, użyte zostały na dobro ojczyzny, niżby miały paść brzuchy i tak już bardzo tłuste, zapasionych i próżniących mnichów.

Rozgrzeszywszy się w ten sposób ze swego szkaradnego postępu (bo bądź co bądź zabór cudzych pieniędzy, według mego zdania, jest zawsze zaborem i kradzieżą), braciszek Gwido, a teraz pan Tomasz Gaworowski doniósł, że został adjutantem przy generale Sokolnickim, że walczy w obronie Sandomierza, że myśli o mnie, że mnie zawsze kocha i wiecznie kochać będzie, że błaga mnie o trochę współczucia, że pewny jest, iż wcześniej czy później potrafi zyskać moją wzajemność, że choćby miał czekać, Bóg wie, jak długo, będzie czekał i w końcu muszę być jego żoną.

List był pisany namiętnie, w wyrażeniach, które mię do głębi wzruszyły, które wywołały łzy w moich oczach, westchnienie i żałosne słowa:

— Mój Boże, czemu ja sobie zasłużyłam na to, że ten człowiek tak mnie kocha i tak prześladowa swą miłością? Przecież ja nie mogę zostać żoną

do nas na pensyi mówił l'abbé Constant, że *contre mauvaise fortune, bon coeur*. A więc nie płacz i nie rozpaczaj, bo może to prosta bajka, których tyle w naszych nieszczęśliwych czasach obiega, może wieść o śmierci bohaterskiej *chevalier* Thomas, okaże się taką samą plotą, jak ta, którą tu rozpuszczono po Warszawie, że ja wychodzę zamaż, za barona de Speth, dowódcę pięknego pułku *des cuirassiers* Sommariva. Nie wierz temu, bo jakkolwiek nie bawię się w jakiś zaściankowy patryotyzm polski, jednakże nie mogłabym, nie chcę zostać żoną nieprzyjaciela Cesarza i księcia Józefa. *Et puis*, wiesz zapewne o tem, że cesarscy, a w ich szeregach i baron de Speth (bardzo przyjemny, elegancki i rycerski oficer) opuścili już Warszawę przed paru tygodniami, a w ich miejsce zjawił się ze swoim korpusem generał Zajacek, podobno srogi demokrat. Czyż więc mogę wyjść za barona de Speth, którego tu niema i zapewne nie będzie nigdy w tak zwanej stolicy polskiej (brudna kupa gruzów), a jak ci wiadomo *les absents ont tort*. Z tem wszystkiem smutno teraz w Warszawie; nie ożywiają jej teraz wikwintni i eleganccy oficerowie szwoleżerów cesarskich i *des cuirassiers* Sommariva. Ah, żebyś wiedziała, jak oni ślicznie, jak upajająco tańczyli walc wiedeński!

Ale ja piszę tylko o sobie, zamiast cię pocieszać *ma chère Julie* w nieszczęściu, jakie cię spotkało, jeżeli w rzeczy samej wieść ta się sprawdzi. Ale mam nadzieję, że się nie sprawdzi, a wtedy po łzach, zająśnienie na twojej buzi uśmiech radości. *Après la pluie, le beau temps*. Załączam ci wyciętą z tutejszej gazety karteczkę o heroicznej śmierci *le beau chevalier Thomas*, ale powtarzam, nie należy do tego przywiązywać wiary. Wiesz przecie, jak ci gazeciarze lubią kłamać; pocieszam się tem, że ty w swoim starożytnym zamku, wśród borów i gór, masz pewne wiadomości o swoim... jakby to powiedzieć?... kochanku, i śmiać się będziesz z gazetarskiej nowiny. Pani prefektowa Nakwaska, przeczytawszy tę wiadomość, nie chce jej wierzyć i powiada, że kogo ludzie uśmierca, ten będzie żył długo. A więc *ma belle Julie*, nie smuć się, twych ślicznych oczu nie psuj łzami, bo ten romans pięknie się skończy, pobierzecie się i będziecie mieli dużo dzieci.

A propos, nie wiem, czym ci już kiedy pisała, że poznałam tu siostrę *du chevalier Thomas*, *mademoiselle Antoinette de Dolabella*. Jest ona kanoniczką i znacznie starsza od brata, którego, o ile zauważyć mogłam, bardzo kocha i odgrywa względem niego rolę opiekunki, jeżeli nie matki. Starała się ona ze mną zapoznać, zapewne dowiedziawszy się, że jestem twoją przyjaciółką. Wypytywałaś mi się bardzo wiele o ciebie i oczywiście w pochwałach twojej piękności i cnotliwości nie byłam skąpa. Zdaje mi się jednak, że nie aprobuje ona uczuć swego brata względem *ma petite Julie*, bo o ile zbadać mogłam,

żywi podobnie, jak twój dziadek, średniowieczne uprzedzenia przeciw Dziaduskiemu. Ale nie trzeba na to zważać, zwłaszcza, że śmierć kawalera kończy tragicznie wszystko. Wyobrażam sobie, jak ta świątobliwa kanoniczka musi rozpaczać, gdyż jedyne szczęście i jedyny cel swego życia widziała w bracie. Żałuję jej bardzo, lecz cóż na to poradzić?

Nie pytam się o różne nowiny z twego zaczerpniętego zamku, bo przedewszystkiem pragnę od ciebie listu z doniesieniem, że smutna wiadomość o heroicznej śmierci *chevalier* Thomas jest pustą bajką. Pisz więc, pisz zaraz i pociesz swoją zawsze cię mocno kochającą

Hortensya.

Ciąg dalszy nastąpi.



— To wy jesteście z Zamkowej Woli?

złoczyńcy, ja, któram jest prawie narzeczoną kawalera Tomasza Dolabelli.

Tak, jestem narzeczoną kawalera, a jednak o wstydzie! Przez drogę, wracając z dziaduniem do domu i dziś przez cały dzień myślałam o liście pana Gaworowskiego, przypominałam sobie jego wyrażenia, pełne namiętnych uniesień! Tak, tak, któż odgadnie tajemnice serca kobiecego? Lecz nie myślmy o tem... składałam pióro, bo mi się w głowie mąci i czuję, jak palący rumieniec twarz mą oblewa...

Nb. Dodać tu muszę, że żebrakowi, który moim śladem przywłókł się za bramę klasztorną, powiedziałam, że odpowiedzi nie będzie, co go, zdaje się, bardzo zasmuciło; że dziadunio jest mocno zmartwiony, bo w rzeczy samej kajzerliki zdołali Sandomierz.

XVII.

Hortensya do Julii.

Varsovie, le 14 Juin 1809.

„Ma chère Julie!“

„Niewesoła ci niosę nowinę, choć zapewne wiesz już o tem, ale zarazem przypominam ci, co zawsze